

# Kazimierz Józef Dudziński

---

## Przeżycia z okresu I wojny światowej

---

Rocznik Kolbuszowski 3, 29-34

---

1994

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

## Przeżycia z okresu I wojny światowej

Urodziłem się w marcu 1897r., w Kolbuszowej, jako czwarte dziecko Stanisława, rzemieślnika, szewca oraz drobnego rolnika i Wiktorii z Golińskich. Stało się to u schyłku niewoli austriackiej naszej Małopolski, nazywanej Galicją. Rodzice moi byli kolbuszowskimi "pniakami", czyli potomkami starych rodów, mieszkających w mieście Kolbuszowa od chwili założenia tego miasta, od końca XVII wieku. "Pniaki" utrzymywały się z uprawy niewielkich gospodarstw rolnych i z dodatkowych zajęć, z wykonywania różnych rzemiosł, a zwłaszcza szewstwa, popieranego przez władze austriackie daniem im, do wyrobu butów dla ich armii. Miasto Kolbuszowa liczyło wtedy niecałe cztery tysiące mieszkańców, z czego połowę stanowili Żydzi. Rody kolbuszowskich "pniaków", mieszczan, były wówczas liczne, imiona wśród nich powtarzały się, wskutek tego poszczególnym osobom nadawano różne przezwiska nazywane przydomkami. Przyjmowało się to jako coś naturalnego. Mojego ojca pochodzącego z Dudzińskich - Bubishiów, a nie z Dudzińskich - Garnarzy czy Szkiertów, nazywano Woźniakiem, co wymawiano jeszcze gwarowo jako Woźniok. Matka, jak przedstawiała się komuś, to mówiła "jestem Dudzińska, Woźniaczka". W mojej klasie, w szkole ludowej było ponad dziesięciu chłopców o nazwisku Dudziński. Każdy musiał mieć przydomko.

Moje starsze rodzeństwo jakoś nie chowało się. Umierało na skutek przeziębień nazywanych dyfterytem. Żyli trzej moi młodsi bracia: Jan, Mieczysław i Władysław. Dziecinne i młodzieńcze lata upływały mi w domu stojącym w małej i ubogiej dzielnicy nazywanej Nowe Miasto, w gronie rodzinnym. Dom ten, drewniany, ale dosyć duży stoi tam do dzisiaj, pod numerem 43. Mieścił niegdyś i mieści nadal pod jednym dachem, dawniej gontowym. Były dwie nasze izby mieszkalne, komora czyli spiżarnia i stajnia dla chowanych koni, dwóch krów, prosiaka i kilku kur. W końcu podwórza znajdowała się stodoła na siano i słomę. W pobliżu mieszkali sąsiedzi: bogaci Jabłońscy - rzeźnicy, Burkiewiczowie i Markusiewiczowie - szewcy, Winiarscy - stolarze, także rodzina Rechulów, Gawronów i Czocharów. Na skraju Nowego Miasta i ulicy Pańskiej, dzisiejszej Obrońców Pokoju, Żydówka Naftulka prowadziła mały sklepik z artykułami spożywczymi. Dalej, w starszej części miasta mieszkali moi krewni, Dudzińscy, Golińscy, Skowrońscy i Winiarscy.

Rodzice moi byli pracowici i dość zaradni, ale i tak żyliśmy bardzo skromnie, prawie biednie. Zostałem najstarszym z rodzeństwa i od dzieciństwa musiałem pomagać rodzicom w pilnowaniu braci, pasieniu krów i innych zajęciach domowych. Także pracowałem w ojcowskim warsztacie szewskim, stojącym w kuchni. Nowe horyzonty otwały się dla mnie w 1904r., kiedy poszedłem na naukę do

szkoły ludowej męskiej. Dyrektorem jej był p. Michał Mróz, a wśród kilku nauczycieli znajdował się Marian Antoni Winiarski, mój sąsiad. Jednym z przedmiotów nauczania w starszych klasach był język niemiecki. Wiedzieliśmy, że cesarzem naszym jest Franciszek Józef I, władca Austro-Węgier, mieszkający we Wiedniu i śpiewaliśmy hymn: "Boże wspieraj, Boże ochroń nam cesarza i nasz kraj". Ale nasi nauczyciele byli polskimi patriotami i mówili nam, że jesteśmy Polakami, że Polska jest w niewoli trzech państw: Rosji, Niemiec i Austrii, że głównym naszym wrogiem jest Rosja, która zabrała najwięcej ziem polskich i najbardziej gnębi Polaków. Uczyli nas kochania ziemi polskiej, pracowania dla niej i potrzeby walczenia kiedyś, w sposobnej chwili, o odzyskanie jej niepodległości.

Z upływem lat poznałem wielu kolegów, Polaków i Żydów, biegałem pod kasarnie, koszary huzarów, głównie Węgrów, stacjonujących w Kolbuszowej, słuchałem opowiadań starszych o dawnych czasach i myślałem, że będę żołnierzem.

Uczyłem się dobrze i żałowałem, że po skończeniu czwartej, czy piątej klasy szkoły ludowej, rodzice nie chcieli posłać mnie do Gimnazjum w Łańcucie, gdzie chodził kolega Roman Rechul. Jednak ojciec uważał, że mam zostać rolnikiem i szewcem, tak jak i on i młodszy bracia. I na pewno byłbym drobnym rolnikiem i szewcem, gdyby nie wybuchła wielka wojna - nazwana później I wojną światową, wojna z lat 1914-1918. Wojna ta sprawiła, że zostałem żołnierzem, najpierw żołnierzem austriackiej piechoty, "Infanterii", potem jeńcem francuskim i żołnierzem polskim, zwerbowanym do Wojska Polskiego w dalekiej Odessie, nad rosyjskim Morzem Czarnym, żołnierzem - tułaczem, wędrującym do wolnej już Polski, przez obce ziemie, wśród wielkich trudów i niebezpieczeństw. W Polsce znowu byłem żołnierzem, biorącym udział w walkach o nią. Zostałem podoficerem służby stałej, należałem do Związku Żeligowszczyków i Kaniowszczyków. Po latach znowu stałem się jeńcem, ale to już było w czasie II wojny światowej.

I wojna światowa zaczęła się w lipcu 1914r. W sierpniu wojsko austriackie ruszyło przeciwko Rosji. Szło i jechało na wschód wszystkimi drogami, także i przez Kolbuszowę. Udali się tam i kolbuszowscy huzarzy. Były to dla nas, dorastających już chłopców, niezapomniane widoki. Gorzej, że naszych mężczyzn ciągnano do wojska.

Na początku wojny werbowano w Kolbuszowej do Legionów, do wojska polskiego. Szli do niego głównie gimnazjaliści. Ja chciałem pójść, ale mój ojciec był chory i potrzebowano mnie w domu. Wnet Austriacy ponosili klęski, cofali się, a za nimi szli Rosjanie. Bogaci ludzie, cywile, uciekali przed nimi na południe. My pozostaliśmy w domu. Przyszli Rosjanie, zalali teren, wciskali się wszędzie, poszukując mieszkań, jedzenia i łupów. W naszym sąsiedztwie, u Jana Jabłońskiego, wdarli się do spichlerza, posiadającego wiele starego, solonego sadła. Brali je, gotowali tak, że garnków zabrakło po domach i jedli popijając "czajem", herbatą z rumem. Wkrótce wycofywali się. Zabrali z sobą kolbuszowian - zakładników, wyznaczonych zaraz po przybyciu. Jednym z zakładników był Władysław Skowroński, mój wujek, burmistrz Kolbuszowej. Zmarł on zaraz w Lublinie, w drodze do Rosji. Zostawili miasto splądrowane, zniszczone. Za niedługo wrócili znowu, teraz na dłużej. Zabierali jedzenie, którego i tak było mało. Panował głód i epidemie chorób zakaźnych. W 1915r. Rosjanie czyli Moskale odeszli, wrócili Austriacy. Bieda i choroby pozostały. Z chorobami usiłowali walczyć nasi lekarze, Billik i Kazimierz Ciepeliowski, bardzo ofiarni ludzie.

W 1916r. zmarł mój ojciec. Miałem 19 lat i chciałem zastąpić go w domu, pomagać matce. Tymczasem w październiku dostałem powołanie do wojska, do wojska austriackiego. Pojechałem z grupą innych poborowych najpierw do koszar

w Rzeszowie, stamtąd do Krakowa do fortów, stojących u stóp kopca Tadeusza Kościuszki. Przydzielono mnie do 4 kompanii 17 pułku Strzelców Pieszych i ćwiczone. Komenda była w języku niemieckim. Nazwa pułku brzmiała w tym języku: "Szissen Regiment". Poznawałem wielu nowych ludzi i nowe sprawy. Dwóch moich kuzynów, Dudzińskich, pracowało w koszarowych warsztatach, naprawiając buty wojskowe.

W Krakowie przeżyłem pamiętny dzień 5 listopada, w którym ogłoszono akt, obiecujący odbudowanie, po wojnie, przez Austrię i Niemcy niepodległego Państwa Polskiego. Nadzieja wstępowała w nasze serca. Po kilku tygodniach ćwiczeń pułk mój został przewieziony na Wołyń, nad rzekę Stochód. Spędziłem tam zimę i wiosnę 1917r. W Rosji odbyła się rewolucja, upadły rządy cara i większych walk na tym froncie już nie było. Mieszkaliśmy w ziemiankach i wartowaliśmy w okopach, marznąc i głodując. Dochodziły do nas słuchy o komunistach, działających wśród Moskali, dążących do zdobycia władzy, zakończenia wojny i budowania ustroju komunistycznego, ustroju o wspólnej własności. Nie wierzyli oni w Boga i byli potępiani przez większość ludzi.

Żywiono nas bardzo nędźnie. Cierpieliśmy głód. Niektórzy koledzy pisali prośby do swoich domów o przysłanie im czegoś do jedzenia. Czasem dostawali paczkę z chlebem, serem i tłuszczem. Czasem przychodziła paczka z ziemniakami przemarzniętymi w drodze. Bieda była powszechna, a życie smutne. W lecie wzmogły się walki i cofaliśmy się na zachód. Dostałem stopień kaprała i dwa tygodnie urlopu. Z radością jechałem do Kolbuszowej, do domu. Cieszyłem się widokiem znajomych stron i najbliższych.

Gdy wróciłem do pułku do Krakowa, wnet wysłano nas w drogę. Teraz skierowano nas na Półwysep Bałkański, do Albanii. Część jej, podobnie jak i Serbię, zajęły już wojska austriackie. Zawieziono nas pociągiem do portu Fiume, w Dalmacji. Dzisiaj port ten nazywa się Rijeka i leży w Jugosławii. Mijany teren był górzysty i piękny. Ale w Fiume, na stacji i w koszarach spotykaliśmy dużo naszych żołnierzy chorych na malarię. Trawiła ich wysoka gorączka i trzęsło zimno, podrzucając do góry. Budziło to we mnie wielki strach i gorąco modliłem się do Boga o zdrowie, o zachowanie od ran i śmierci na froncie i od malarii. I miałem szczęście. Zdrowie służyło mi.

Z Fiume wieziono nas na statkach, morzem, wzdłuż brzegu Półwyspu, na południe. Patrzyliśmy na góry, osiedla i zieleń, myśląc co nas czeka. Kazano nam wysiadać w porcie Durazzo, dzisiaj Durez, w Albanii. Niedalekie ziemie należały już do Turcji, sprzymierzonej z Niemcami i Austrią. Z portu zaprowadzono nas na front, do okopów wijących się pośród gór i dolin. Potem były walki z całkiem obcymi żołnierzami i marsze, to w tę, to w inną stronę. Podczas jednej bitwy, pod górą o nazwie Timorica, nieprzyjacielem, w przeważającej sile niepodziwianym, nie wiadomo w jaki sposób otoczyli cały mój batalion i wzięli go do niewoli. Nieprzyjacielem byli Turcy, Francuzi i Anglicy. Dostałem się do niewoli francuskiej.

Bardzo przykro jest stracić wolność i zostać jeńcem u obcych ludzi, których języka się nie rozumie. Ale trzeba było pogodzić się z faktem i czekać na to, co będzie dalej.

Zabrano nam broń i zaprowadzono w wielkiej gromadzie do obozu jenieckiego. Leżał on w Macedonii, pod miastem Fiorina. Przedstawiał ogrodzone pole, pełne namiotów. Spaliśmy pod namiotami i dostawaliśmy skąpe pożywienie, chociaż musieliśmy pracować. Prowadzono nas oddziałami, pod strażą, do pracy, w cegielni czy w lesie, albo do naprawy dróg. Byliśmy różnymi ludźmi, kilku narodowości. Polaków było nas kilkudziesięciu. Męczyły nas obcość ziemi, tęsknota za krajem,

niepewność jutra. Marzyliśmy o powrocie do kraju, interesowaliśmy się przebiegiem wojny i światowymi wydarzeniami. W tym obozie dowiedzieliśmy się o wybuchu rewolucji komunistycznej w Rosji i oczekiwaliśmy zimy.

Na przełomie 1917 i 1918r. przeprowadzono nas z obozu pod Fiorina, do jeszcze większego obozu jenieckiego, położonego pod miastem Saloniki w Północnej Grecji. W kraju tym stacjonowało wtedy Brytyjsko-Francuskie Dowództwo Wojskowe na Bliski Wschód i podlegająca mu armia. Nasz obóz zajmował olbrzymi teren, jego mieszkańcy należeli do różnych ras i narodowości. Byli tam Europejczycy, Arabowie, Murzyni. Posiłki gotowało się w olbrzymich kotłach. Pracowaliśmy na rzecz obozu i wychodziliśmy do pracy w terenie. Słabe pożywienie i tęsknota za krajem wyniszczały nasze siły.

W obozie pod Salonikami spędziłem kilka miesięcy. W lecie, czy już pod jesień 1918r., komenda obozu ogłosiła, że 400 Polaków zostało wyznaczonych przez nią do wyjazdu. Ja znalazłem się pośród nich. W pierwszej chwili ucieszyłem się z wiadomości, bo myślałem, że jedziemy do domów. Ale wnet powiedziano nam, że pojedziemy do pracy w portach Morza Czarnego, do Konstancy i Odessy. Zainteresowałem się tymi miejscowościami i dowiedziałem, że Konstancja leży w Rumunii, a Odessa w Rosji. Byłem zadowolony z wyjazdu, bo przecież wyznaczone nam strony leżały bliżej mojej Galicji, niż Grecja.

Pewnego dnia załadowano nas na statek i ruszyliśmy w drogę. Zapamiętałem morze i postój w porcie Konstantynopol, wśród szarych, jakby spopieliałych skał. Potem płynęliśmy dalej, już na północ. Połowę naszej grupy wysadzono w Konstancji. Ja byłem z tymi, co mieli jechać dalej, do Odessy. W Rosji w tym czasie stali jeszcze głęboko Niemcy i Austriacy, a bardziej na wschód toczyła się wojna domowa pomiędzy bolszewikami, komunistami i ich przeciwnikami, zwolennikami ustroju burżuazyjnego. Pomędzy czerwonymi i białymi. Biali szukali pomocy u państw zachodnich i niby otrzymali ją. Port w Odessie utrzymywali w swoich rękach Anglicy i Francuzi, umożliwiając wyjazdy na Zachód arystokracji i burżuazji rosyjskiej. Moja grupa jechała pracować w tym porcie. Jechaliśmy jako przeciwnicy rewolucji rosyjskiej, chociaż niewiele orientowaliśmy się w sytuacji.

Port w Odessie leżał w dole, wśród szarych skał, u stóp dużego i pięknego miasta, tonącego w soczystej zieleni olbrzymich drzew. Nas, przybyłych Polaków, ulokowano w barakowych, portowych magazynach i kazano pracować przy załadunku i wyładunku jakichś towarów oraz przy sprzątanii pomieszczeń portowych. Sypialiśmy na cementowych posadzkach, ale mieliśmy możliwość lepszego odżywiania się niż w obozach Grecji. Czuliśmy się bliżej kraju. Dowiedzieliśmy się o zakończeniu wojny i czekaliśmy na powrót do niego.

Pracowałem w porcie odesskim prawie ze trzy miesiące, gdy jednego dnia, na początku 1919r., przyszedł do naszych magazynów oficer, w nieznanym nam mundurze i powiedział najczystszą polszczyzną "czołem bracia rodacy". Nam dech zamarł w piersiach. On przedstawił się jako kapitan Pytel, członek Sztabu i Biura Werbunkowego Wojska Polskiego, 4 Dywizji Strzelców Polskich, sformowanej na Kaukazie, dowodzonej przez gen. Lucjana Żeligowskiego, oficera z byłej armii rosyjskiej, dywizji przybyłej właśnie do Odessy w drodze do Polski. Kapitan dowiedział się o jeńcach polskich, zatrudnionych w odesskim porcie, o nas i przyszedł, żeby wezwać nas do wstąpienia do tej dywizji i wspólnego maszerowania do odrodzonej Polski. Powiedział nam, że 4 Dywizja Strzelców Polskich (4 DSP) wchodzi w skład Armii Polskiej, tworzonej we Francji przez Polski Komitet Narodowy, że na czele tej Armii stanął właśnie gen. Józef Haller, były legionista i jest ona związana z Dowództwem Wojskowym Państw Zachodnich na Bliskim

Wschodzie, że gen. Żeligowski podlegający gen. Hallerowi, nawiązał kontakt z Józefem Piłsudskim, Naczelnikiem i Naczelnym Wodzem Polski, że 4 DSP wyruszy wkrótce w drogę do kraju, gdzie toczą się różne walki i każdy Polak, przeszkolony wojskowo, powinien się tam *znaleźć*. Słowa te rozrzewniły nas i chociaż mnie wyrwało się stwierdzenie, że jako żołnierze austriaccy i jeńcy francuscy długo już tułamy się po obcych ziemiach, że może lepiej byłoby nam wrócić do Polski w charakterze cywilów i tam wstąpić do wojska, to jednak zdecydowaliśmy się wstąpić do 4DSP. Kpt Pytel przyszedł po nas następnego dnia i zebrał do koszar.

W koszarach odesskich znajdowali się żołnierze francuscy, polscy, greccy, "bia-li" Rosjanie, a czasem i Niemcy. Tam znowu stałem się człowiekiem wojskowym. Wykapany, podstrzyżony, zbadany przez lekarza, umundurowany i uzbrojony, znalazłem się w drużynie, plutonie, kompanii, batalionie i w 14 pułku 4 DSP. Pułk mój był mały, niepełnoetatowy, a dowodził nim płk Kozubek. Chciano nas ćwiczyć, ale nie było na to czasu. Ludność Odessy odnosiła się do nas serdecznie, ale atakowały nas wrogie nam oddziały nacjonalistów ukraińskich, petlurowców, oddziały okolicznych chłopów, organizowanych przez komunistów w komitety rewolucyjne i słyszeliśmy o nadchodzeniu większych sił komunistycznych.

W lutym 1919r. bolszewicy otoczyli Odessę od zachodu, odcinając nas od drogi na północny-zachód, ku Polsce. Wtedy nasi dowódcy postanowili walczyć z nimi i odebrać im miasto Tyraspol, ważną stację kolejową. Mój pułk został wyznaczony do tej akcji, razem z innymi oddziałami francuskimi i polskimi, posiadającymi czołgi i armaty. Stoczyliśmy tam wielki bój, pomyślny, szczęśliwy. Opanowaliśmy Tyraspol i jego okolicę i po miesiącu różnych utarczek wróciliśmy do Odessy. Ale naszych żołnierzy, francuskich, greckich i polskich była za mało. Agitacja bolszewicka zyskiwała zwolenników nie tylko wśród Rusinów-Ukraińców, ale i wśród Francuzów, którzy nie chcieli się bić. Bolszewicy opanowywali coraz to nowe obszary i zbliżali się do Odessy.

Na początku kwietnia wojsko nasze, Francuzi, Grecy, Polacy i Rosjanie - białogwardziści, musiało opuścić Odessę, udać się do Tyraspola i dalej ku północnemu zachodowi, ku rzece Dniestr i Besarabii. Nasza 4 DSP pragnęła wracać do Polski. Razem z nami opuszczały miasto dosyć liczne zastępy mieszkających tam dotąd Polaków - cywilów. Bolszewikom sprzyjali Żydzi, rozsiani wszędzie. Mój batalion opuszczał Odessę już pod kulami bolszewickimi. Uciekliśmy do Tyraspola, ciesząc się, że jest on w naszych rękach. Potem maszerowaliśmy ku Dniestrowi, oddzielającemu Ukrainę od Besarabii rumuńskiej. Na Dniestrze nie było mostu. Żołnierze budowali jakiś prowizoryczny most. Bardzo pomagały im w tym posiadane konie. Ale brakło koni do wiezienia armat. Francuzi i Grecy porzucali swoje armaty, my Polacy pchaliśmy je i nieśliśmy prawie na rękach, po grząskim, przybrzeżnym terenie. Przeprowa przez wezbrany Dniestr, po prowizorycznym moście była straszna. Brnęliśmy po kolana, a czasem i po pas w wodzie, trzymając się kurczowo jedno drugiego i sprzętu. Najpierw szli Francuzi, do których bolszewicy nie strzelali tak zawzięcie, jak do nas, potem Grecy, a potem my Polacy, razem z polskimi cywilami i wmieszanymi w nas białogwardzistami, nie wpuszczanymi właściwie do Rumunii. Przeżyliśmy tam niezmiernie ciężkie chwile, ale dotarliśmy do Besarabii, akuratnie na święta wielkanocne. Mój pułk stanął w miejscowości o nazwie wymawianej jako Góra Roszą. Tamtejsi ludzie przyjęli nas do swoich domów, nakarmili, pomogli wyprać i wysuszyć nasze *rzeczy*, pozwolili odpocząć. Jedliśmy ich kaszę i placki kukurydziane i cieszyliśmy się spokojem oraz ludzką życzliwością. A byliśmy tam prawie miesiąc. Odłączali się od nas

Francuzi i Grecy, odchodząc do swoich krajów. Na pożegnanie gen d'Anselme, Francuz, dowódca grupy Wojsk Sprzymierzonych na Południu Rosji, przemawiał do nas zgromadzonych, chwalił energię, legendarną brawurę i wierność oddziałów polskich i odznaczył gen. Lucjana Żeligowskiego, oficerów i żołnierzy, którzy w lutym brali udział w odbiciu Tyraspola, a także budowniczych mostu na Dniestrze, saperów i ułanów polskich, francuskim odznaczeniem "Croix de guerre", Krzyżem Wojny. Dostałem ten Krzyż, jako pierwsze moje odznaczenie i gorąco dziękowałem Bogu w modlitwach, że udało mi się wyjść z ukraińskiego piekła.

Francuzi i Grecy rozstali się z nami nie w Besarabi, lecz w Bukowinie, w Czerniowcach, dokąd przybyliśmy jeszcze razem. Wracaliśmy do własnych krajów. Nasza 4 DSP ciągnęła trochę pociągami, trochę piechotą, do Galicji Wschodniej do mojej prawie już rodzinnej ziemi. Ale na tej ziemi trwała walka Ukraińców przeciwko Polakom i my musieliśmy brać w niej udział. Każdy żołnierz polski był potrzebny.

Wnet znaleźliśmy się we wsi Sapochowo, niedaleko Stanisławowa. Dowództwo nasze zakwaterowało się w Stanisławowie, w koszarach tamtejszej 10 Dywizji Piechoty. Był to już czerwiec 1919r. W stronach, gdzie przybyliśmy, nacjonaliści ukraińscy, pragnący posiadać własne państwo, walczyli z Polakami, starając się zajmować miasta, linie kolejowe i punkty strategiczne. Cała nasza dywizja wzięła udział w walkach przeciwko nim. Mój pułk przeprowił się znowu przez Dniestr w Jampolu, na jego lewy brzeg i w starciach dotarliśmy pod Monasterzyska. Potem znowu pułki nasze połączyły się. Gdzieś nad Strypą, na początku lipca, odczytano rozkaz Józefa Piłsudskiego, Naczelnego Wodza, w sprawie połączenia naszej 4 Dywizji Strzelców Polskich z 10, Stanisławowską Dywizją Piechoty w 10 Dywizję Piechoty. Nasze trzy pułki piechoty z 4 DSP, 13, 14 i 15, powiększone o żołnierzy z 10 Dywizji, dostały nową numerację i nazwę Pułków Strzelców Kaniowskich, na pamiątkę udziału, wielu członków tych pułków, w bitwie pod Kaniowem, nad Dnieprem, w maju 1918r.

10 Dywizja Piechoty miała dalej walczyć, ale ja i niektórzy inni moi koledzy dostaliśmy po dwa tygodnie urlopu. Znowu z wielką radością witałem, po dwóch przeszło latach niewidzenia moich najbliższych i Kolbuszowę. Witałem ich w wolnej już, niepodległej Polsce! Odrodzenie się Polski napawało nas ogromną radością i chęcią pracowania dla niej. Po urlopie wróciłem do mojej dywizji. Nie były to już czasy I wojny światowej, ale na wschodniej nieustalanej granicy naszego kraju, trwał stan nieprzyjaźni z Litwą i wojny z Rosją. Mój pułk został wysłany na pogranicze polsko - litewskie, na ówczesną linię demarkacyjną, w okolice Bortkiszek i Formontów. Byłem tam dowódcą placówki. Odwiedziłem Wilno i modliłem się w Ostrej Bramie, dziękując Opatrzności za Polskę i za pomyślny powrót na ojczystą ziemię. Ale na wiosnę 1920r. przyszła polska wyprawa do Kijowa, na pomoc Ukraińcom przeciwko Rosji. Wyprawa załamała się i armia rosyjska, armia bolszewicka, ruszyła na Polskę. Żołnierze polscy cofali się pod wielkim naporem. Mój pułk też uciekał z Wileńszczyzny, w wielkiej mordęce i poniewierce. Maszerowaliśmy na południowy zachód w głodzie i strachu, po 80 i więcej kilometrów na dobę. Uciekali z nami cywile. Dzisiaj jeszcze dziwię się, jak mogliśmy to wszystko wytrzymać. Słuszne są słowa, wypowiedane przez Józefa Piłsudskiego, że "wiele może ten, co musi". Potem przyszła wielka bitwa pod Warszawą. Brałem udział w walkach pod Radzyminem. Zostałem ranny w ramię i zabrany do szpitala dostałem urlop. I na tym skończyła się dla mnie wojna. I wojna światowa. Potem, po latach, przyszła II wojna światowa. Ale to jest inne zagadnienie.